

Nie ma już piaskownicy tylko dla mnie. Dywan z włókna kokosowego i piasek jak cukier puder przeprowadzili się. Kucąłem na maleńkich czworokątach, które nosiły jednakowe imię. Haha i Borsuk nazywali je płytkami. Teraz była zima, a zimą było za zimno na zabawy piaskiem na dworze.

Z góry wdarł się niepokój do mego cichego świata. Haha stała przy kaloryferze w sieni i szeleściła:

– ...jechać... Beseler Platz...

Jedno słowo miało brzmienie i znaczenie: Beseplatz. Wstałem i wszedłem po schodach piwnicy na górę.

Beze – beze – beze.

Bez sprzeciwów dałem się ubrać. Wąchałem swoje dłonie i paplałem słowa:

– Barmbek – Barmbek – Barmbek.

Haha zaszeleściła:

– Nie... nie babcia... Othmarschen...

Płyty chodnikowe ułożone przed szeregiem domów powitały mnie takim uporządkowaniem, jakie znałem z piwnicy. Nie mogłem nadepnąć na żadną fugę. Byłem bardzo ostrożny.

– Kafle – kafle – kafle.

Haha zaszeleściła:

– Nie... płyty chodnikowe...

Na końcu szeregu domów Haha nie skręciła w lewo w kierunku placu zabaw. Wyprowadziła śliwkowy samochód. Obwąchiwałem swoje dłonie. Pachniały wełnianymi rękawiczkami.

Beze – beze – beze.

Jazda do Othmarschen do Beseplatz, którego nazwa brzmiała tak, jakby leżała na Barmbek, trwała krótko. Przejechaliśmy tylko parę światła i skrzyżowań. Moje usta wypełniała chrupiąca biel obłoków i delikatna słodycz.

Zadowolony, że podróż tak krótko trwała, podskakiwałem dookoła zegara parkingowego. Pozwolono mi wrzucić do niego monety, a potem przesunąć uchwyt w kształcie gałki w dół. Te kilka kroków od parkingu do domu, w którym mieszkała Bezowa Pani, przedreptałem obok Hahy. Bezowy Dom był tak bliski i taki nowy, jego fasada taka przyjazna... Na samą myśl o okruszynach przyjemnie drapiących podniebienie słoneczny zimowy dzień stał się słonecznym wiosennym dniem.

Haha nacisnęła dzwonek do jednych z wielu drzwi na klatce schodowej. Dźwięczenie dzwonka nie było ani za głośne, ani za ciche. Lubilem ten dźwięczący dźwięk dzwonka, który wyraźnie różnił się od brzęczącego dźwięku w Barmbek. Wszystko brzmiało obiecująco. Zaraz pewnie dostanę moją nagrodę.

Drzwi otworzyła starsza pani nietoperz. Zaszemrała powitanie. Zachowałem się jak zawsze w stosunku do nietoperzy i nic nie powiedziałem. Dreptałem obok Hahy. Posadzono mnie na krzesło stojące na środku pokoju. Obca nietoperzyca zajęła miejsce naprzeciwko mnie i rozmawiała z Hahą. Wokół mnie krążyło szemranie. Kilka sylab zyskało brzmienie:

– ...szkoła specjalna...

Całą wieczność czekałem na białą jak obłok bezę. Im bardziej byłem cierpliwy, tym większe rozczarowanie mnie spotkało, gdy się nie doczekałem.

Bezowy Dom Bez Bezy pokazał się podczas drugiej wizyty z lepszej strony.

Dźwięk dzwonka podobał mi się jeszcze bardziej niż za pierwszym razem. Haha wyjaśniła mi, że Bezowa Pani Bez Bezy jest logopedą. Słowa Hahy miały brzmienie, ale nie miały żadnego znaczenia.

Gdy Bezowa Pani Bez Bezy przywitała mnie, milczałem – tak było bezpieczniej. Zakłopotany usiadłem na tym samym krześle, co za pierwszym razem. Bezowa Pani Bez Bezy rozpoczęła rozmowę. Jej słowa płynęły do mnie, potem uderzały pewniej i mocniej. Z każdym zdaniem stawało się jasne, że

czegoś ode mnie chciała. Nadzieja na otrzymanie białej jak obłok bezy rozprysła się, nie pozostawiając po sobie ani okruszyny.

Bezowa Pani Bez Bezy wyjęła kilka kartoników z kolorowymi obrazkami. Patrzyłem na nie zaciekawiony: pies, kot, kwiat i dom ukazały się w pełnej krasie. Bezowa Pani Bez Bezy wskazała na karty. Zrozumiałem, czego ode mnie chciała. Miałem wydać dźwięk pasujący do obrazka. Nie wykonałem tego zadania. Nie wydałem żadnego dźwięku. Czułem się nieswojo. Zamknąłem się w sobie i milczałem – tak było bezpieczniej. Później Bezowa Pani Bez Bezy nie mówiła już jak nietoperz. Stała się spokojniejsza i bardziej przyjazna. Już nie musiałem się wysilać z całymi słowami. Miałem wypowiadać proste głoski. Nadal nic z tego. Ale Bezowa Pani Bez Bezy tak łatwo nie rezygnowała. Była już prawie tak miła jak barwne cienie. Właściwie był to jeden z tych momentów, kiedy popadałem w milczenie. Zdarzyło się jednak coś, czego nie byłem w stanie przewidzieć. Bezowa Pani Bez Bezy ujęła delikatnie, ale stanowczo mój podbródek i próbowała spojrzeć mi w oczy. Dotykała mojej twarzy! Skamieniałem ze zdenerwowania. Z ust Bezowej Pani wylały słowa z szelestem słowa. Znowu stała się nietoperzowa.

Jej palce nie trzymały mego podbródka mocno, nadawały mu tylko właściwy kierunek. Wystarczyłoby jedno małe szarpnięcie, aby się uwolnić. Jednak nie cofnąłem twarzy. Bezowa Pani Bez Bezy wyciągała ze mnie głoski jedną za drugą. Wydawała dźwięki. Odpowiadałem dźwiękami. Nie było tak strasznie.

Na koniec byłem szczęśliwy, że wytrzymałem tę godzinę bez szwanku. Chciałem już wyjść, więc precyzyjnie przesuwałem się obok HaHy do sieni. Jakiś głos podążał za mną. Bezowa Pani Bez Bezy przywołała mnie do szklanego naczynia, które nazwała dziwnym dźwiękiem.

– ...port...¹

¹ Chodzi tu o słowo *Hafen*, czyli port, ale też naczynie (w północnych Niemczech wysokie naczynie ze szkła). W tym wieku Axel znał tylko jedno znaczenie słowa *Hafen*, mianowicie port.

Ale to nie był przecież port w Hamburgu. Nie chlupała w nim woda, ani też nie kołysały się statki. Otworzyła ten port, pochwaliła mnie i przytrzymała przed moimi oczami jakiś drobiazg. Patyk zielony jak lipa i prezentujący się w pełnej krasie owoc zespoliły się w obraz smakołyku. Z moich ust wymknęło się słowo:

– Lizak.

To słowo miało brzmienie i znaczenie. To słowo dotarło do mnie w moim świecie. Niespodziewaną nagrodę zamknąłem w ustach i poczułem na języku i podniebieniu rozpuszczającą się czerwień.